



# Deklaracja praw człowieka to była nasza ewangelia

Z Natalią Gorbaniewską rozmawia Marek Radziwon

**The Declaration of Human Rights was our Gospel.  
Marek Radziwon talks to Natalia Gorbaniewska**

**Marek Radziwon:** Czy pamiętasz rok 1953 i śmierć Stalina?

**Natalia Gorbaniewska:** Właśnie kończyłam szkołę.

**MR:** Miałaś 17 lat, wtedy właśnie kończy się szkołę i rozpoczyna studia.

**NG:** Byłam wtedy jeszcze całkiem głupia.

**MR:** Ale wiedziałaś o istnieniu GUŁagu? Wiedziałaś, że siedzi masa ludzi?

**NG:** Nie, wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Dowiedziałam się rok później.

**MR:** Byłaś studentką pierwszego roku filologii, znałaś na przykład tekst Erenburga o pracy pisarza? Czy zauważałaś pierwsze zwiastuny Odwilży?

**NG:** Nie pamiętam. Pierwszym zwiastunem Odwilży była właśnie powieść *Odwilż* Erenburga z 1954 roku. Byłam wtedy jeszcze studentką pierwszego roku.

**MR:** A esej Pomierancewa w miesięczniku „Nowyj Mir”?

**NG:** Tak, oczywiście. Dużo się o tym mówiło, wszyscy to czytali. Ale nie pamiętam żadnych szczegółów z tym związanych.

**MR:** A referat Nikity Chruszczowa z 1956 roku? O tym też się dyskutowało?

**NG:** Nie było mnie wtedy na uniwersytecie, dopiero kiedy mama wróciła z zebrania, na którym im to odczytywali, wszystko mi opowiedziała.

**MR:** Mama należała do partii?

**NG:** Nie, odczytywali go na otwartych zebraniach.

**MR:** Zdaje się, że początkowo referat czytano wyłącznie na zebraniach partyjnych.

**NG:** Na otwartych zebraniach partyjnych – tak to się konkretnie nazywało. Nie, mama nigdy do partii nie należała. Wielokrotnie ją do tego namawiano, ale mama za każdym razem powtarzała: „Jestem bezpartyjną bolszewiczką”.

**MR:** Kiedy więc dowiedziałaś się o tym, czym był GUŁag i że trwają masowe represje?

**NG:** Moja ciotka, młodsza siostra mamy, wyjechała w charakterze łączniczki na Kołymę i tam wyszła za męża za byłego więźnia obozu. W 1954 roku wracali z Kołymy i po drodze zatrzymali się u nas. Po znajomości wujkowi wyrobili nowy dowód osobisty, w tym czasie nie było jeszcze rehabilitacji. Jechali do niego, do Erewania, skąd pochodził. Nocą, kiedy wszyscy myśleli, że zasnęłam, opowiadali mamie i babci, co tam się działo. A ja nie spałam, więc coś niecoś z tego usłyszałam. Nie pamiętam dokładnie, co to było. Pamiętam jednak jed-

no z historii wujka, choć przyznam szczerze, że nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy o tym usłyszałam, czy wtedy, czy w czasie jego rehabilitacji. Wujek opowiadał, że jednego jego niepiśmiennego krewnego z ormiańskiej wsi posadzili pod zarzutem KRTD. Wiesz, co to takiego? Trockistowska działalność kontrrewolucyjna. Niepiśmiennego ormiańskiego chłopca... To mi szczególnie zapadło w pamięć. Ale czy usłyszałam o tym wtedy, czy może później, kiedy można było już o tym swobodniej mówić, nie tylko po nocach – tego nie wiem. To było moje pierwsze osobiste doświadczenie związane z obozami. Choć później z różnych źródeł, od znajomych, rówieśników, którzy byli bardziej zorientowani w temacie, coś tam więcej do mnie docierało, ale w sumie niewiele.

**MR:** Twoja rodzina pochodziła z Moskwy?

**NG:** Tak, z Moskwy. Moja rodzina przyjechała z guberni woroneskiej do Moskwy jeszcze przed rewolucją. Po roku 1918 z powodu głodu wrócili tam, skąd pochodzili, następnie osiedli na południu Rosji. Mama z babcią zatrzymały się w Rostowie, wraz z jeszcze jedną siostrą, jedna z sióstr osiadła w Nowoczerkasku, a najmłodsza z sióstr mieszkała to w Taganrogu, to w Rostowie, to jeszcze gdzieś indziej. Przed wojną przeniosła się na Daleki Wschód, a po wojnie – na Kołymę. Starsza z sióstr przyjechała z mężem do Moskwy wcześniej niż mama, choć jej dzieci urodziły się jeszcze w Nowoczerkasku. Dlatego też byłam pierwszą osobą w naszej rodzinie, która urodziła się w Moskwie. Mama przeniosła się do Moskwy, aby uczyć się w studium bibliograficznym przy Izbie Książki. Uczyła się tam i później została zatrudniona na stałe. Przedtem pracowała w bibliotece Uniwersytetu w Rostowie. W zasadzie nasza rodzina nie miała korzeni moskiewskich.

**MR:** Jednak lata 1936 i 1937 twoja mama przeżyła w Moskwie?

**NG:** Tak, urodziłam się w Moskwie w 1936 roku. W jednym z wywiadów mówiłam o mamie i o latach 1936-1937.

**MR:** Przeczytałem u Ludmiły Aleksiejewej ciekawą opinię na temat roku 1956. Aleksiejewa pisze tam, że: „był to dla nas wstrząs, ale po-

zostawaliśmy lojalnymi obywatelami, nigdy nie spotkałam żadnego przeciwnika socjalizmu”.

**NG:** Oczywiście, Aleksiejewa jest nieco starsza, była członkiem partii, więc ona uważa, że ludzie przejrzeni na oczy dopiero wtedy, kiedy ona przejrzała. My, młodszy, byliśmy w większości, no może nie w większości – ale wielu znanych mi moich rówieśników było już wtedy zagozłałymi przeciwnikami socjalizmu.

**MR:** Bardzo często spotykałam się z opinią, pobrzmiwającą mniej więcej do końca lat 50. nawet w środowisku dysydentów, że „popieraliśmy ideę socjalizmu z ludzką twarzą”.

**NG:** Bywało różnie. Ale jeśli ktoś sugeruje, że nie było przeciwników socjalizmu, to może lepiej, żeby już nic nie mówił.

**MR:** A ty zawsze wiedziałaś, że problem leży nie w błędach systemu, ale w samym systemie?

**NG:** Taka myśl pojawiła się u mnie po raz pierwszy w 1956 roku po XX zjeździe, kiedy wielu miało nadzieję, że zmiany nadejdą. Sama nie należałam do tej grupy, tzn. uważałam, że nie będzie lepiej. W jednym ze swoich tekstów cytowałam swój wiersz z okazji maja 1956 roku. To słaby wiersz, wyrzuciłam go, ale dalej go pamiętam:

Чижи поют рассвет, но почему же совы  
Летают как в потьме, раскинув серость крыл?  
А ах, этот жалкий свет от ламп дневного  
Освещения, а солнце кто-то скрыл.

[Czyżyki wyśpiewują świt, ale czemuż sowy  
Latają jak w głuszy, rozłożywszy szarość skrzydeł?  
I ten nędzny blask od lamp dziennego  
Światła, i słońce ktoś zaciemnił.]

To znaczy, że już dawno wyzbyłam się nadziei.

**MR:** To wtedy poznałaś się ze swoimi najbliższymi przyjaciółmi-dysydentami, Pawłem Litwinowem, Łarisą Bogoraz i innymi?

**NG:** Z Litwinowem zdecydowanie później. Zresztą ze wszystkimi poznałam się znacznie później. W roku 1956 zaprzyjaźniłam się z Jurijem Gałanskowem. Następnie z Aleksandrem Ginzburgiem, później do kręgu moich znajomych dołączył Leonid Czertkow, którego w 1957 roku wsadzili do więzienia. Nie był dysydentem w pełnym tego słowa znaczeniu, wyszedł w 1962 roku jako były więzień polityczny. Z Litwinowem i Bogoraz poznałam się dopiero w 1967 roku. Co prawda, Litwinow powtarza, że poznaliśmy się w 1962 roku, kiedy Aleksander Ginzburg przyprowadził mnie do mieszkania, w którym akurat był Litwinow, ale ja go wtedy nie zauważyłam, choć on mnie ponoć zapamiętał. Najwcześniej, choć nie w kontekście naszej działalności dysydenckiej, poznałam się z innym późniejszym znanym dysydentem – Aleksandrem Jesieninem-Wolpinem. Było to na drugim roku moich pierwszych studiów, kiedy razem z pierwszym rokiem podjęliśmy się zorganizowania wieczorków literackich, w trakcie których czytaliśmy i recytowaliśmy wiersze. Jedna z dziewcząt, zapewne ze starszego rocznika, przyprowadziła na nasze spotkanie Aleksandra Wolpina. Później go przez dłuższy czas nie spotkałam. Tak więc był pierwszym dysydentem, z którym miałam okazję się poznać, a który miał później się stać ojcem ruchu obrony praw człowieka. Poznałam go jednak, kiedy występował w zupełnie innej roli – poety.

**MR:** Kiedy zdawałaś na wydział filologiczny, nie miałaś wątpliwości co do kierunku, który wybrałaś? Aleksander Pawłowicz Ławut jest z wykształcenia matematykiem, Siergiej Kowalow – biologiem. Swego czasu Siergiej Kowalow powiedział mi coś takiego: „Jestem biologiem, wybrałem nauki przyrodnicze, mimo iż jestem humanistą, ale zawsze towarzyszyło mi wrażenie, że cała humanistyka jest mocno zideologizowana, dlatego lepiej uciec w nauki przyrodnicze”.

**NG:** Nie odczuwałam w podobny sposób, jeszcze tego nie rozumiałam. Kiedy po raz pierwszy rozpoczynałam studia, byłam jeszcze przesiąknięta tą całą ideologią i dlatego też nie wywoływało to u mnie jakichś wątpliwości. Później już bardzo się „wkręciłam” w filologię, zaangażowa-

zowałam, nie chciałam więc tego porzucać. A tak w ogóle, to o ile lat jest ode mnie starszy Kowalow?

**MR:** Urodził się w 1930 roku.

**NG:** Więc kiedy on zdawał na studia, to biologia była znacznie bardziej zideologizowana. Pamiętam, jak w tamtym czasie zmieniały się nasze szkolne podręczniki.

**MR:** Między wami jest sześć lat różnicy. Wydaje mi się, że w tym przypadku to już różnica pokolenia i że granicą było doświadczenie roku 1956. Kowalow już pracował, był na studiach doktoranckich.

**NG:** Nie. Jeśli urodził się w 1930 roku, to znaczy, że dokładnie w 1948 roku rozpoczął studia biologiczne, a przecież w tym samym roku odbyła się słynna sesja WASChNIL (ros. ВАСХНИЛ: Всесоюзная академия сельскохозяйственных наук имени В. И. Ленина – Wszechwiązkowa Akademia Nauk Rolniczych im. W. I. Lenina – przyp. tłum.), to znaczy w tym czasie w dziedzinie biologii było jeszcze gorzej niż w humanistyce. Chciałabym wskazać, gdzie leży granica, w którym momencie nastąpił przełom. Kiedyś śp. Wieniedikt Joffe, leningradzki więzień polityczny, powiedział mi: „Zwróć uwagę, że najaktywniejszym w ruchu obrony praw człowieka (nie określaliśmy go mianem dysydenckiego) i jednocześnie najpłodniejszym twórczo pokoleniem było to, które urodziło się między rokiem 1934 a 1941. Z drobnym uzupełnieniem z pokoleń starszych i młodszych, jak np. Bukowski i Superfin”. My zaczynaliśmy wcześniej. Każdy, kto był od nich młodszy, zaczynał wcześniej, w latach 50. Ta podziemna poezja i młodzi poeci, to wszystko mogło się wydarzyć dzięki temu pokoleniu. Weźmy naszą moskiewską grupę – najstarszy z nas był Leonid Czertkow, urodzony w 1934 roku, a później leningradzcy chłopcy z rocznika 1935-36. Rejn – 1935 rok, Najman i Boguszew – 1936, Brodski – 1940. Weźmy kogoś bliżej: Aleksiej Łosiew, Michaił Jeriemin – to ta sama szkoła filologiczna, ci wszyscy ludzie urodzili się w latach 1935-1937. Tu wszystko zaczynało się wcześniej. Ta szkoła filologiczna organizowała, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, happeningi podczas zajęć na uniwersytecie w roku 1952, pisała o nich „Komsomolskaja Prawda”. To jest bardzo intrygujące. Weźmy na przykład Michaiła Krasilnikowa, mojego równolatka

(rok młodszego lub rok starszego). Krasilnikow był pierwszym znanym więźniem politycznym epoki Chruszczowa – listopad 1956 roku. Ci ludzie, którzy byli starsi, dołączali później. Lub siedzieli w podziemiu jak Siniawski i Daniel. Łarisa Bogoraz naturalnie była z tym związana, ale nie brała aktywnego udziału aż do aresztowania Daniela.

**MR:** Jaki miałś stosunek do tzw. smogistów (ros. СМОГ: „Самое Молодое Общество Гениев” – „Najmłodsze Stowarzyszenie Geniusz” i „Смелость, Мысль, Образ, Глубина” – „Odważa, Myśl, Kształt, Głębia” – przym. tłum.) i placu Majakowskiego?

**NG:** Ani razu nie byłam na placu Majakowskiego. Wiedziałam, że często można tam spotkać Jurija Gałanskowa, ale sama nigdy tam nie poszłam. Zabawne, ale plac to nie był mój styl. Nie byłam ani na placu Majakowskiego, ani na placu Puszkina. Aż do momentu wkroczenia wojsk radzieckich do Czechosłowacji. Dopiero wtedy zrozumiałam, że to jedyny sposób, żeby wyrazić swój sprzeciw. Ale w dalszym ciągu uważam, że to nie jest mój styl. Wolę siedzieć za maszyną do pisania i drukować.

**MR:** Czy umiałabyś wskazać konkretny moment, w którym świadomie wyczułaś, że jesteś częścią środowiska obrońców praw człowieka i że od tego momentu zaczyna się nie tylko twoja przygoda z literaturą i samizdatem, ale coś więcej?

**NG:** Myślę, że był to rok 1967, kiedy pomagałam Pawłowi Litwinowowi w pracach nad książką o sprawie Wiktora Chaustowa i Władimira Bukowskiego i kiedy mnie zapoznał z legendarną adwokat Sofią Wasiljewną Kalistratową. Od tego czasu zaczęłam myśleć w kategoriach obrońców praw człowieka. Wiele zawdzięczamy Sofii Wasiljewnie. Na przykład w grudniu 1967 roku napisaliśmy list (nie pamiętam dokładnie, kto napisał, wydaje mi się, że Łarisa Bogoraz, ja brałam udział tylko w redagowaniu) i zebraliśmy pod nim podpisy z żądaniem otwartego procesu Ginzburga i Gałanskowa. Idea jawności procesu jest ściśle związana z obroną praw człowieka. Takie właśnie idee zaczęły się u nas rodzić. List ten podpisało, jeśli dobrze pamiętam, ponad sto osób. W 1968 roku było już lepiej. To jednak właśnie w 1967 roku

wszystko się rozpoczęło. Zaczęliśmy opierać się na deklaracji praw człowieka – to była nasza ewangelia.

**MR:** 1965 rok to proces Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela. To także był wstrząs? W końcu byliście z Łarisą Bogoraz, żoną Daniela, przyjaciółkami.

**NG:** Oczywiście, dla mnie to był szok, ponieważ bardzo dobrze znałam Siniawskiego, bywałam u niego w domu i, oczywiście, niczego nie podejrzewałam. Szok związany był jednak, jak pewnie przypuszczasz, z samym ujawnieniem tego, czym się Siniawski zajmował. Później był już proces. Docierały do mnie szczątkowe informacje. A potem Aleksander Ginzburg zaczął kompletować materiały do *Białej księgi*. Przyniosłam mu wtedy list od Nataszy Swietłowej, przyszłej żony Sołżenicyna.

**MR:** Mieliście takie wrażenie, że jest to krytyczny moment dokręcania przez władze przysłowiowej śruby?

**NG:** Oczywiście, że tak. Dokręcanie śruby zaczęło się już w okresie rządów Chruszczowa, kiedy odwiedził wystawę MOSCh-u (ros. МОСХ: Московское отделение Союза художников – Moskiewski Oddział Związku Artystów – przyp. tłum.), później zaczęły się jego słynne spotkania z inteligencją, podczas których na wszystkich wrzeszczał, to również wtedy „Nowyj Mir” zrezygnował z publikacji *Requiem* Achmatowej. Cały ten proces zaczął się w epoce Chruszczowa, ale znacznie zaostrzył w późniejszym czasie. Chodziły nawet słuchy o publicznej rehabilitacji Stalina. I właśnie w roku 1966 zbieraliśmy podpisy pod listem w sprawie Siniawskiego i Daniela. Idea tego listu była taka, że będziemy zbierać podpisy wyłącznie osób znanych, wpływowych, chociaż w tym czasie już nie tylko oni występowali w obronie Siniawskiego i Daniela, ale również ich przyjaciele. Po procesie Ginzburga i Gałanskowa podpisywali listy już prości ludzie, tacy jak ja. Pamiętam, że podpisałam się pod listem taką frazą: „Natalia Gorbaniewska, inżynier-tłumacz”.

**MR:** 5 grudnia 1965 roku nie wzięłaś udziału w protestach na placu Puszkina?



**NG:** Nie, nie wzięłam.

**MR:** Ale wiedziałaś o tym, co się miało tam wydarzyć?

**NG:** Nie, nie wiedziałam. Później już wiedziałam, że zbierają się tam rokrocznie 5 grudnia, ale i tak nie brałam w tym udziału.

**MR:** To wtedy po raz wtóry poznałeś się z Aleksandrem Wolpinem?

**NG:** Nie, to jeszcze nie ten czas. Choć z jego wierszami spotykałam się później i u innych, sama jednak nie miałam jeszcze okazji go poznać.

**MR:** To kiedy zetknęliście się ze sobą ponownie?

**NG:** Myślę, że był to rok 1967. To znaczy już po aresztowaniu Aleksandra Ginzburga. Chodzi o to, że w tym czasie zajmowałam się przekładem Tatarkiewiczza i kiedy aresztowali Aleksandra, zadzwoniłam do Ludmiły Iljiczej, matki Aleksandra, i powiedziałam jej: „Ludmiło Iljiczo, jestem z wami, ale muszę skończyć przekład, jak tylko się z tym uporam, wtedy do was przyjdę”. I przyszłam. Zapamiętałam nawet datę – dwudziesty trzeci lutego 1967 r. Byli tam wszyscy: Paweł Litwinow, Łarisa Bogoraz, Ludmiła Aleksiejewa i wielu, wielu innych. Było wielu przyjaciół Aleksandra, których znałam osobiście. Spotykałam tam naturalnie późniejszą żonę Alika Arinę Ginzburg, którą znałam bardzo długo, jeszcze z czasów studiów i wieczorków literackich – byłam wtedy na drugim roku, ona na pierwszym. Byli Wiktor Krasin i, jeśli dobrze pamiętam, Anatolij Marczenko. To tam właśnie zanurzyłam się w tym środowisku, poznałam właściwie wszystkich.

**MR:** Wolpin był już wtedy znany jako „główny prawnik” ruchu, dążący do tego, aby wszystko to stało się legalne.

**NG:** Tak, oczywiście. Ale nie jestem sobie w stanie przypomnieć, w jakim momencie go znów spotkałam.

**MR:** Z Gałanskowem poznaliście się jeszcze w instytucie?

**NG:** W roku 1956. Na spotkaniach literackich „Moskowskiego Komso-molca”.

**MR:** Z kolei z Anatolijem Marczenką w 1967 roku?

**NG:** Mogę nawet podać konkretną datę, to był ten sam dzień. Nie pamiętam dokładnie, czy był wtedy Krasin, czy później Paweł Litwinow mnie z nim zapoznał, ale wiem na pewno, że był wtedy Marczenko. Przyszedł z Łarisą, oczywiście nie wiedziałam wtedy, jakie panują między nimi relacje. W 1967 roku Marczenko został postawiony przed sądem. Wtedy przyszła do mnie Łarisa i mówi: „Cóż, wpisali mnie jako jego konkubinę”. Do tej pory kobietą Marczenki była Ira Biełogorodska. Ira i Anatolij zarejestrowali swój związek w urzędzie stanu cywilnego, aby Marczenko mógł swobodnie wjeżdżać do Moskwy, ponieważ przez cały czas miał z tym problemy. To jednak niczego nie zmieniło, za każdym razem go zatrzymywali. W chwili rozpoczęcia procesu Marczenki Ira już odsiadywała wyrok, więc formalnie nie miał on już kobiety, dlatego też zapisano Łarisę jako jego konkubinę. A później jedna moja prawosławna znajoma tak emocjonalnie to skomentowała: „Taka to miłość między Łarisą i Anatolijem”. W tym czasie Łarisa też już siedziała i Anatolij siedział, w sumie już wszyscy siedzieli. Ja odpowiedziałam na to: „No co ty? Przecież trzeba było kogoś podać”. Jak się później okazało, nie było tak, jak myślałam. Dowiedziałam się o tym dopiero od samych zainteresowanych.

**MR:** W styczniu 1968 roku miała miejsce seria przeprowadzanych przez KGB tzw. rozmów zapobiegawczych. Wzięli Litwinowa, Jakira...

**NG:** Z Litwinowem rozmawiali wcześniej.

**MR:** Łarisę Bogoraz także wzywali. Wydawać by się mogło, że bez konkretnego powodu, zapewne tylko po to, aby trochę nastraszyć.

**NG:** Tak, lubili to robić.

**MR:** Kiedy miała miejsce twoja pierwsza rozmowa tego typu?

**NG:** Nigdy.

**MR:** A kiedy zrozumiałas, że oni wiedzą, że należysz do tego środowiska?

**NG:** Było to dla mnie całkowicie jasne i naturalne, że wiedzą o moich kontaktach z tym środowiskiem. Gdzieś w okolicach jesieni 1968 roku cała Moskwa wiedziała już, że wydaję „Kronikę Wydarzeń Bieżących”. Wydawaliśmy ją anonimowo, nigdzie nie było napisane, kto ją wydaje, ale wszyscy o tym wiedzieli. A kiedy wszyscy wiedzą, to tym bardziej nie umknie to KGB.

**MR:** Czy w styczniu 1968 roku, kiedy odbywał się proces czworga, przechodziłaś pod budynek sądu?

**NG:** Tak, każdego dnia.

**MR:** Czy oprócz najbliższej rodziny wpuszczali kogokolwiek do sali sądowej?

**NG:** Nie, nawet świadkowie musieli opuszczać salę, chociaż powinni mieć prawo pozostać. W przeddzień zakończenia procesu Paweł Litwinow i Łarisa Bogoraz napisali swoją odezwę do społeczności międzynarodowej. Byłyśmy z Łarisą u Ludmiły Iljnicznej, gdzie każdego dnia po zakończeniu rozprawy zbierali się wszyscy. Ludmiła Iljniczna i Arina opowiadały, co się działo w trakcie procesu. Łarisa pokazała mi tę odezwę, poprosiła, abym przeczytała, i jeśli byłaby taka potrzeba, poprawiła. Tak też zrobiłam. Później przedrukowaliśmy tę odezwę. Na drugi dzień, w ostatnim dniu procesu, przekazałam ją korespondentom zagranicznym. Powiedziałam do dwóch korespondentów z „The Washington Post” i „The New York Times”: „Chodźcie pójdziemy do hotelu »Leningradzka« i wypijemy po filiżance kawy”. Przekazałam im tę odezwę w paczce po papierosach Marlboro.

**MR:** Znałaś innych zagranicznych korespondentów, dziennikarzy, którzy przychodzili na proces?

**NG:** Ogólnie tak, znaliśmy ich. Chociaż ja się tym nie zajmowałam. W naszym środowisku za kontakty z dziennikarzami zagranicznymi odpowiadał przede wszystkim Andriej Amalrik. Część jednak z nich znałam. Korespondent z „The New York Times” nazywał się

Bill Evans. Nie pamiętam jednak niestety, jakie nazwisko nosił drugi z korespondentów. Zapadło mi w pamięć, że bardzo głośno się śmiał, gdy powiedziałam, że gazeta „The Washington Post” uznawana jest za gazetę postępową. Bardzo go to rozśmieszyło. Pamiętam, że kiedy dotarła do nas wiadomość z Taszkientu o aresztowaniu Grigorienki, a wyjątkowo Amalrika nie było w Moskwie, to tylko ja miałam numer telefonu do tego korespondenta. Zadzwoiłam do niego, ale niestety nie zastałam go. Próbowałam wytłumaczyć jego żonie, o co chodzi, ale odniosłam wrażenie, że się nie zrozumieliśmy. Później wszyscy ci korespondenci przychodzili na procesy demonstrantów. Jest takie jedno zabawne zdjęcie. Korespondenci robili zdjęcia i ci panowie, którzy mieli nas pilnować, także fotografowali. I w pewnym momencie uwieczniono na jednym ze zdjęć rząd korespondentów, mnie przed nimi i fotografujących w tle wspomnianych panów.

**MR:** Czy przewidywaliście, że Jurij Gałanskow dostanie wyrok siedmiu lat pozbawienia wolności, Ginzburg natomiast dostanie pięć lat?

**NG:** Myśleliśmy, że obydwaj dostaną po siedem lat.

**MR:** W czasie procesu czworga napisano ogromną liczbę listów w tej sprawie, była to skala wcześniej niespotykana.

**NG:** Zgadza się. To była masowa akcja pisania listów protestacyjnych i wsparcia oskarżonych. Ale po procesie demonstrantów napisano jeszcze jeden list i niestety pod nim nie zebrano nawet stu podpisów.

**MR:** Czy wiedziałś już w tym czasie, że Litwinow przygotowuje *Białą księgę* i jakie materiały do niej zbiera?

**NG:** W tym czasie nie przygotowywał *Białej księgi*, ale *Proces czworga*. Pierwsza jego publikacja była, jak już wspominałam, poświęcona sprawie Chaustowa i Bukowskiego, a druga – procesowi czworga. Oczywiście, wiedziałam o tym. Problem w tym, że Litwinow zbierał te materiały niespiesznie. Tę jego pracę dokończył dopiero Andriej Amalrik już po aresztowaniu Litwinowa. Nie mówi się o tym głośno, ale jeśli zapytasz Pawła Litwinowa, sam ci to powie. Pozostawił po sobie książkę w stanie całkowicie roboczym. Materiały właściwie zo-

stały zebrane, ale brakowało tekstu, który by je związywał, tak jak to było w przypadku sprawy Bukowskiego i Chaustowa.

**MR:** Jak właściwie wyglądało zbieranie tych materiałów od strony technicznej?

**NG:** Po tym, jak przekazano na Zachód odezwę do społeczności międzynarodowej, do Łarisy i Pawła zaczęły przychodzić listy. W przypadku Łarisy praktycznie od razu zablokowali jej skrzynkę pocztową, jednak Paweł jeszcze przez dłuższy czas mógł otrzymywać korespondencję. Z racji tego, że w odezwie tej podane zostały adresy Bogoraz i Litwinowa, ludzie zaczęli przyjeżdżać do nich i przywozić listy zbiorcze z różnych regionów. Dzięki temu udało się zebrać ogromną dokumentację.

**MR:** A co ze wspomnieniami rodzin dotyczącymi samych procesów?

**NG:** To nie były wyłącznie relacje bliskich, ale również świadków i adwokatów. Przy sporządzaniu stenogramów z rozpraw pomocni byli nasi obrońcy: Boris Zołotuchin, Dina Kaminska i inni.

**MR:** Chciałem właśnie zapytać nie tylko o Kalistratową, ale również o Kaminską i Zołotuchina.

**NG:** Ja Zołotuchina praktycznie nie znałam, Kaminską natomiast dosyć słabo. Znałam ich wyłącznie jako adwokatów. Oczywiście, widziałam ich, kiedy wychodzili z sądu po procesie demonstrantów, Ginzburga i Gałanskowa. Widziałam ich wtedy obydwójce. Nigdy jednak nie byłam z nimi blisko zaznajomiona. Kiedy uzgadniałam z Sofią Wasiljewną Kalistratową stenogram rozprawy, to poprosiła ona o konsultację w tej sprawie Kaminską, ale to również odbyło się za jej pośrednictwem. Paweł Litwinow także opracowywał dwa stenogramy z rozpraw w procesie Chaustowa i Bukowskiego, chociaż wydaje mi się, że i tym zajęła się w większości Sofia Wasiljewna. Część informacji napływała od świadków i bliskich, ale nie zawsze była taka możliwość. Pamiętam, że w trakcie procesu Bukowskiego do sali nie wpuszczono jego matki, Niny Iwanownej, dlatego myślę, że większość materiału udało się odtworzyć dzięki Sofii Wasiljewnej.

**MR:** Skoro mówimy o procesie czworga, to chciałbym przy okazji zapytać o „Kronikę Wydarzeń Bieżących”. Kiedy zaczęłaś ją redagować, zda się, że nie pracowałaś, byłaś w domu i zajmowałaś się małym synem?

**NG:** Nie, nie zajmowałam się wychowywaniem dziecka, ale oczekiwałam dziecka i przebywałam na urlopie macierzyńskim. Na powstanie „Kroniki Wydarzeń Bieżących” miało wpływ to, że nagromadziło nam się mnóstwo przeróżnych informacji dotyczących obozów i procesów – dzięki książce Marczenki i dzięki ludziom, którzy jeździli na widzenia, a później zajeżdżali do Łarisy, przekazywali jej informacje o tym, co się dzieje w obozach. No i oczywiście proces czworga. Zaczęły do nas napływać informacje o innych więźniach politycznych i ich procesach. Całe to nagromadzenie przeróżnych informacji musiało znaleźć swoje ujście. Dyskutowaliśmy na ten temat bardzo długo. Łarisa, niestety, nie była w stanie się tym zająć, gdyż i tak miała zbyt wiele na głowie. Oprócz tego również pracowała. Cóż, postanowiłam zaryzykować i sama się zabrać za wydawanie „Kroniki...”

**MR:** Pierwszy numer był w całości poświęcony procesowi czworga?

**NG:** Tak, w znacznej części.

**MR:** Ale od samego początku wiedzieliście, że będą jeszcze kolejne numery?

**NG:** Zamieściliśmy informację, że jest to „numer pierwszy”, ale nie miałam pojęcia, ile ich jeszcze będzie. Zawsze powtarzam, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że „Kronika...” będzie wychodziła przez 15 lat, ale też nigdy bym nie pomyślała, że nie będzie. Chodzi o to, że byłam nastawiona na wypuszczenie tylu numerów, ile zdołamy.

**MR:** Skąd się wzięła nazwa?

**NG:** Pełna nazwa brzmiała „Rok Praw Człowieka w Związku Radzieckim” (ros. „Год прав человека в Советском Союзе”). „Kronika Wydarzeń Bieżących” to podtytuł. Taką nazwę nosiła audycja BBC. Dopiero od następnego roku stopniowo zaczęliśmy używać go jako tytułu naszego biuletynu.

**MR:** Tak się stało, że krąg najbliższych przyjaciół stał się jednocześnie kręgiem najbliższych współpracowników – Ilia Gabaj, Julij Kim, Nadeżda Jemielkina, Irina Biełogrodzka.

**NG:** Tak, i jeszcze Piotr Jakir. Do Jakira spływało bardzo dużo informacji. Pamiętam, że dostarczał nam pliki pojedynczych karteczek z wiadomościami. Arina Ginzburg, która pomagała (po aresztowaniu Łarisy) zgłaszającym się do niej żonom więźniów politycznych w wyjazdach do obozów na widzenia, była dla nas niezastąpionym źródłem informacji. Ira Jakir, która regularnie mniej więcej od 1969 roku jeździła na Ukrainę, umożliwiała nam kontakty z tym regionem.

**MR:** W pierwszym numerze „Kroniki...” opublikowana została odezwa do prezydium partii komunistycznych w Budapeszcie. Co mnie uderzyło najbardziej – dwanaście zamieszczonych pod nią podpisów: imię, nazwisko, dokładny adres. Zdaje się, że oficjalnie nie było wiadomo, kto tworzy „Kronikę...”, a tu taka otwartość.

**NG:** Pod odezwą Łarisy i Pawła widniały dwa adresy. Kolejną tego typu inicjatywą był nasz list, tzw. *List stu dziewiętnastu* (później zostało dopisanych jeszcze kilka nazwisk). Znalazły się tam adresy pięciu upoważnionych osób, w tym również adres mój oraz Aleksandra Wolpina. Jak wiadomo, Wolpin szybko został aresztowany, mnie zabrali do szpitala dla psychicznie chorych. Wszędzie zamieszczano nazwiska i adresy. U Ginzburga w *Białej księdze*, u Gałanskowa w *Feniksie 66*. Działo się tak dlatego, że w trakcie procesu Siniawskiego i Daniela moskiewskie środowisko liberalne trafnie spostrzegło, że ich ukrywanie się pod pseudonimami na niewiele się zdało. To nie my byliśmy tym liberalnym środowiskiem, choć było ono naszym podłożem. Odnosiliśmy się do niego raczej ironicznie. Wydaje mi się, że genialność „Kroniki...” zawiera się właśnie w jej anonimowości, która gwarantuje, że będzie ona przekazywana z rąk do rąk i nie przestanie istnieć.

**MR:** Od początku planowaliście wydawać sześć lub siedem egzemplarzy, które można będzie powielić?

**NG:** Tak. Chcieliśmy je rozdać, aby inni dalej je rozpowszechniali. Te poszczególne egzemplarze rozjeżdżały się po różnych miastach i tam znów były powielane.

**MR:** Czyli można powiedzieć, że opublikowanie w roku 1967 w „Kronice...” imion, nazwisk i adresów było przejawem myślenia, że jawność...

**NG:** Zależało od nas. Tak.

**MR:** Tak, to po pierwsze. A po drugie, że...

**NG:** To była broń i to bardzo poważna. Niebezpieczna broń, ale tak czy owak bardzo poważna.

**MR:** Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do Anatolija Marczenki i jego książki *Moje zeznania*. Mówiłaś już, kiedy poznałaś się z Marczenką, ale nie wspominałaś, czy czytałaś *Moje zeznania*? Wiedziałaś, że to jego tekst?

**NG:** Nie, on w tym czasie dopiero je pisał. Jakiś czas później, jesienią przepisywałam z brudnopisu na czysto większy fragment *Moich zeznań*.

**MR:** Zapewne przywiozła ci je Łarisa Bogoraz?

**NG:** Tak, oczywiście. Tak jak wspomniałam, przepisywałam duży fragment książki i przez to całkiem długo nie przeczytałam jej w całości. Przeczytałam ją dopiero po roku lub półtora, na pewno przed moją odsiadką. Już w trakcie przepisywania tego fragmentu tekst zrobił na mnie ogromne wrażenie. Chciałam przeczytać całość, ale długo nie mogłam znaleźć pełnego egzemplarza. Brudnopis po prostu został podzielony na części i rozdany kilku maszynistkom, w tym również mnie.

**MR:** Czyj był pomysł, aby „Kronika...” była nie pismem publicystycznym, w którym zamieszcza się różne teksty, opinie i komentarze, ale suchym informatorem?



**NG:** To był mój pomysł, którego staraliśmy się trzymać ze wszystkich sił. Pamiętam, że swego czasu urządziłam w związku z tym niezłą awanturę. Kompletowałam dziesiąty numer „Kroniki...”, ale krótko przed jego ukazaniem się, trochę wcześniej niż pod koniec października, miałam wyjechać do miejsc zesłania Pawła i Łarisy, więc oddałam redakcję „Kroniki...” Piotrowi Jakirowi. Zostawiłam mu instrukcje, że jeśli coś nowego w czasie mojej nieobecności napłynie, to żeby dodali to do „Kroniki...”. Dołączyli do niej dokument literatury podziemnej – *Program ruchu demokratycznego Związku Radzieckiego*, dodając od siebie, że jest to najlepszy tego typu tekst. Urządziłam wtedy straszną awanturę. W numerze jedenastym powinno znaleźć się sprostowanie na ten temat, chociaż ostatecznie nie wiem, czy się znalazło, ponieważ to nie ja odpowiadałam już za numer jedenasty „Kroniki...”. Był jeden taki przypadek, kiedy napisałam, że „Kronika...” nie ocenia, ale zmuszona jest zrobić wyjątek. Chodziło o tekst literatury drugiego obiegu poświęcony nazistom, których umieszczono w więzieniach psychiatrycznych. Rzecz w tym, że zwykle obiektywna „Kronika...” musiała zabrać głos, ponieważ nikt nie miał prawa szydzić z ludzi bezpodstawnie zamkniętych w szpitalach.

**MR:** Kiedy wśród autorów „Kroniki” wykształciły się specjalizacje? Na przykład generał Grigorienko zajmował się Tatarami krymskimi.

**NG:** Pierwszą osobą, która zajmowała się tym problemem, był Kostierin. On poznał Grigorienkę z Tatarami krymskimi, a Grigorienko poznał z nimi nas. Nie powinniśmy jednak używać w kontekście Grigorienki określenia „specjalizacja”, to raczej skłonność lub sympatia.

**MR:** Najpierw sympatia, później przyjaźnie i wiadomości zaczęły same do niego napływać.

**NG:** Oni wszyscy go uwielbiali, do dzisiaj go pamiętają i darzą wielką sympatią.

**MR:** Może się nie zgodzisz z tym, co powiem, ale według mnie to, że „Kronika...” była takim suchym informacyjnym wydawnictwem, bez komentarzy i różnego rodzaju rozważań, świadczy również o pewnej świadomości prawnej. Oczywiście mogli się przyczepić i tak, jednak

znacznie trudniej było oskarżyć „Kronikę...” o kłamstwo, o antyradzieckie oszczerstwo. Po prostu zbieraliście informacje, ale nikt nie zamierzał ich oceniać ani komentować.

**NG:** Oczywiście. Jest to szczególnie widoczne, gdy prześledzimy przypadek procesu Kowalowa, gdzie znaleziono zaledwie siedem błędów lub błędnych informacji w wydanych do tego czasu numerach „Kroniki...”. Ale błędy się przecież zdarzają, nigdy się ich nie wypieraliśmy. Kiedy była taka możliwość, poprawialiśmy je. Niekiedy się to jednak nie udawało. „Kronika...” nigdy nie solidaryzowała się z czyimikolwiek poglądami politycznymi. Broniła wszystkich prześladowanych, bez względu na ich przekonania polityczne czy religijne. Solidaryzowaliśmy się jedynie z obrońcami praw człowieka, ale wyłącznie z działaniami w ramach deklaracji praw człowieka. Niedawno udzieliłam wywiadu, w którym zapytano mnie: „Jak się pani zapatruje na problem wyjazdów lub chęci opuszczenia kraju przez młodych ludzi?”. Odpowiedziałam: „Powiedziałam już pani, że istniała dla nas wyłącznie powszechna deklaracja praw człowieka, a tam zostało zapisane: każdy człowiek ma prawo do swobodnego przemieszczania się, wyboru miejsca zamieszkania, każdy człowiek ma prawo opuścić swój kraj i wracać do niego. Więc jest to wybór każdego człowieka”. Chociaż w tamtym momencie swoboda przemieszczania się była dla nas trudna do wyobrażenia. Pamiętam, kiedy Aleksander Wolpin wyjeżdżał na emigrację. Nie odlatywał samolotem, ale odjeżdżał pociągiem z Dworca Białoruskiego. Żegnając się z nami, wołał: „Trzeba walczyć o prawo do powrotu do swojego kraju!”. Wszyscy walczyli o możliwość wyjazdu z kraju, a on nam przypominał, że nie to jest priorytetem. W ogóle trzeba zauważyć, że świadomość obrońcy praw człowieka zaszczerpił nam jako pierwszy Wolpin. Głównie za sprawą haseł, które głosił na placu Puszkina. Były mi one znane, chociaż sama tam nigdy nie byłam. „Przestrzegajcie naszej konstytucji!”. Demonstranci nie żądali oswo-bodzenia Siniawskiego i Daniela, ale jawności procesu. Pod względem prawnym były to poprawne i słuszne hasła, do których ciężko było się przyczepić. I od tego właśnie wszystko się zaczęło. Później Aleksander Wolpin napisał instrukcję, „jak należy zachowywać się w trakcie przesłuchania”. Ze względu na skomplikowany tok myślenia Wolpina sama instrukcja nie była zbyt prosta. Później pojawiły się już mniej skomplikowane instrukcje, ale Aleksander był w tym pionierem.

**MR:** Prawnikami ruchu byli także Walerij Czalidze, Boris Zukerman, Julij Tieleśin?

**NG:** Tieleśin nie był prawnikiem, wydawał literaturę w samizdacie i z prawem nie miał nic wspólnego. Czalidze był motorem Komitetu Praw Człowieka Sacharowa, chociaż działalność tego komitetu nie przynosiła większych praktycznych rezultatów, ponieważ zajmowano się w nim rozpatrywaniem wyłącznie problemów teoretycznych.

**MR:** Ostatnie pytanie dotyczące „Kroniki...”. Jak wyglądała praca nad pismem? Ile czasu zajmowało przygotowanie jednego numeru?

**NG:** Wszystko zależało od objętości numeru. Z czasem kolejne numery były coraz grubsze. Najważniejsze było zebranie materiału, później wystarczyło tylko sięgnąć i napisać tekst. Zajmowało to dzień lub dwa, w sumie nie tak długo. Z czasem „Kronika...” była już naprawdę obszernym wydawnictwem, nad którym współpracowało kilku redaktorów i ludzi, którzy gromadzili i sporządzali oddzielne materiały. Przy pierwszych dziesięciu numerach wszystkie te czynności wykonywałam sama, począwszy od zebrania materiału po pisanie tekstów do „Kroniki...”

**MR:** Czy wyznaczałaś sobie konkretny termin oczekiwania na napływające materiały? Jak wiadomo, zawsze można coś nowego dodać.

**NG:** „Kronika...” wychodziła regularnie, dlatego też musiała ukazywać się w konkretnym terminie. Władze szybko zorientowały się, że wydajemy biuletyn regularnie i na kilka dni przed wypuszczeniem numeru mieliśmy rewizję. Z numerem dziesiątym poszczęściło mi się. Był już praktycznie gotowy, zawsze jednak można było coś do niego dodać, ale przekazałam go Jakirowi. I następnego dnia, w dzień mojego odlotu, kiedy już miałam kupiony bilet na samolot, zorganizowano u mnie rewizję. Spóźniłam się wtedy na samolot.

**MR:** Wiele mówiłaś o sierpniu 1968 roku i Czechosłowacji. Jesteś autorką słynnej książki *Dwunasta w południe*, szczegółowo omawiającej dzieje waszego protestu. Jest jednak kilka szczegółów, które mnie

interesują. Dowiedziałaś się o tym, co się stało, z radia i zadzwoniłaś do Łarisy Bogoraz?

**NG:** Tak, to było dwudziestego pierwszego sierpnia.

**MR:** Wtedy odbywał się proces Marczenki?

**NG:** Tak, wszyscy poszli na proces Marczenki. Ja jednak siedziałam w domu, ponieważ mama z moim synkiem (Jarosławem – przyp. tłum.) wyjechała poza Moskwę. Miała wrócić przed dwudziestym piątym, ale wtedy jej jeszcze nie było, więc siedziałam sama w domu z Oską (Josifem – przyp. tłum.). Nie poszłam z nimi na proces, nie było takiej konieczności, ale cały czas myślałam, jak ich tam rozstawiają przed tym sądem. Okazało się, że było całkowicie na odwrót i wpuścili ich do sali. To był właściwie pierwszy przypadek, kiedy pozwolono wszystkim wejść na salę rozpraw.

**MR:** Jurij Orłow pisał, że istniał realny problem, jaki rodzaj protestu wybrać, aby okazał się on skuteczny. Piszesz – nie opublikują twojego tekstu, wyjdiesz na ulicę z transparentem – nikt za tobą nie pójdzie z wyjątkiem KGB. Czy pamiętasz takie spotkanie, kiedy...

**NG:** To już Pawła należałoby o to zapytać.

**MR:** ... rozmawialiście na ten temat i po raz pierwszy padło wyrażenie „łobnoe miesto”, czyli to miejsce na placu Czerwonym, gdzie zorganizowaliście protest?

**NG:** Nie wiem, kiedy po raz pierwszy o tym wspomnieliśmy, ponieważ o miejscu i czasie demonstracji zawiadomiła mnie Łarisa. Nie wiem, kto je pierwszy zaproponował, możliwe, że to był Paweł. Zawsze zapominam o to zapytać.

**MR:** To znaczy, że nie było takiego spotkania, w którym uczestniczyłaś?

**NG:** Nie, nie było. Spotykałam się wyłącznie z Łarisą. Zostałam wezwana na przesłuchanie w sprawie Biełogorodskiej, na które poszłam z Oską, ponieważ mama jeszcze nie wróciła. Było to dwudziestego

trzeciego sierpnia. Zaszłam później do Ludmiły Iljnicznej, gdzie czekała na mnie Łarisa.

**MR:** Zapewne istniał pewien krąg osób, które wiedziały o demonstracji, np. Łarisa Bogoraz czy Paweł Litwinow?

**NG:** Wiedziało o tym kilkadziesiąt osób.

**MR:** Ale do ostatniej chwili nie było wiadomo, kto się ostatecznie zjawi?

**NG:** Co do niektórych mieliśmy pewność. Wiedziałam, że przyjdą Paweł i Łarisa. Wiedziałam również, że przyjdzie Kostia Babicki, którego wtedy jeszcze nie znałam. Po prostu Paweł, wychodząc od Łarisy, zadzwonił do niego. Niektórzy mieli jeszcze wątpliwości, ale Kostia po prostu odpowiedział „idę”, i na tym skończyły się jakiegokolwiek wątpliwości. Wielu ludzi starało się nas zniechęcić.

**MR:** Kto konkretnie chciał to zrobić?

**NG:** Na przykład Walerij Czalidze, który przyjechał do Łarisy specjalnie po to, aby jej to odradzić. Paweł Litwinow lepiej pamięta tę sprawę.

**MR:** Ale był również krąg przyjaciół, którzy przyszli w charakterze świadków?

**NG:** Tak. Paweł po prostu poprosił Innę, aby przyszła na plac. Była również Tania Wielikanowa z przyjaciółką. Przyszedł człowiek, który bardzo chciał wziąć udział w demonstracji, ale ze względu na okoliczności życiowe – w tym czasie jego żona i córki przebywały u rodziny w Czechosłowacji – nie mógł tego zrobić. Obawiał się, że sam zostanie aresztowany, a one nie będą mogły wrócić do kraju. Pojawili się Jurij Sztejn, żona Pawła – Majka Rusakowska, Sasza Sambor – znajomy moich przyjaciół, który dostał od nich wiadomość o demonstracji. To właśnie od opowieści Sambora rozpoczyna się *Dwunasta w południe*. Warto pamiętać o wielu ludziach spoza Moskwy, którzy – gdyby tylko mogli – towarzyszyliby nam na placu. Mam na myśli Piotra Grigorienkę czy Ilję Gabaję, którzy byli w tym czasie na Krymie i zajmowali się problemami Tatarów krymskich. Nie pojawił się, niestety,

Toszka Jakobson, ponieważ żona nie przekazała mu informacji o demonstracji od Majki Rusakowskiej. Przyszedł za to Wadim Delone, któremu wiadomość przekazała Gala Gabaj. Ona też pojawiła się na placu w charakterze naocznego świadka.

**MR:** Wasi świadkowie potrzebni wam byli na wypadek procesu sądowego?

**NG:** Tak, chcieliśmy mieć swoich świadków. Tak czy owak wpisywali: winę dowodzi zeznanie tej i tej osoby... Tak było w przypadku Tatiany Wielikanowej. To była dla Tani lekcja na całe życie. Po tych doświadczeniach już nigdy nie chciała składać żadnych zeznań ani wyjaśnień.

**MR:** Czy – kiedy szłaś na plac – wiedziałaś, że skończy się to procesem demonstrantów i zesłaniem?

**NG:** Nie spodziewałam się takiej skali. Do końca nie wiedziałam, czy mnie wezmą. Nawet zastanawiałam się: „ciekawe, czy mnie zabiorą”. Kiedy jednak już po mnie przyszli, bardzo mnie zdziwiło, że po rewizji postanowili zostawić mnie w domu. To było dla mnie spore zaskoczenie.

**MR:** Czy ktoś poinformował korespondentów zagranicznych o tym, co ma się wydarzyć?

**NG:** Andriej Amalrik zawsze powtarzał, że Łarisa coś źle im przekazała. Wściekał się z tego powodu. Właśnie dlatego poprosił mnie o napisanie listu. Sam go jeszcze przeredagował i przekazał korespondentom zagranicznym w skróconej wersji. O tym dowiedziałam się jednak zdecydowanie później. Kilka elementów również pozmieniał. W mojej wersji pisałam: „Wadim Delone – student, Natalia Gorbaniewska – inżynier-tłumacz”, a on po prostu napisał w obu przypadkach: „poeta”. Bardzo nie lubię, gdy ktoś nazywa mnie poetką.

**MR:** Czy nie pojawiła się w twojej głowie myśl, że nie posadzili cię ze względu na to, że miałaś małe dziecko? Tym bardziej, gdy napisałaś ten list.

**NG:** Kiedy napisałam ten list, byłam pewna, że podpisuję na siebie nakaz aresztowania. Okazało się jednak, że było na odwrót.

**MR:** Sama się o to prosiłaś.

**NG:** Właściwie to tak. Ale nie miałam wyboru, męczyło mnie odcięcie od informacji. Zaczęłam o tym myśleć jeszcze przed tym, jak przyszedł do mnie Amalrik. Razem wypracowaliśmy kształt listu, napisałam swój tekst, on coś tam pozmieniał i, jak się później okazało, jeszcze raz go przeredagował.

**MR:** Kiedy doszło u ciebie w domu do pierwszego przeszukania? Przeszłaś w sumie trzy rewizje. Trzecia z nich odbyło się dwudziestego czwartego grudnia.

**NG:** Do pierwszej rewizji doszło w lutym 1957 roku. Przeprowadzono u mnie przeszukanie w noc po demonstracji, a kolejne odbyło się właśnie dwudziestego czwartego grudnia 1969 roku. Jak się okazało, przyjechali wtedy do mnie z nakazem aresztowania. Ciekawe, że w tym samym czasie odbywała się rewizja u Juliusa Tielešina. Ludmiła Aleksiejewa, który była ze mną w trakcie poprzedniego przeszukania, stwierdziła, że zostawią mnie w domu ze względu na małe dziecko, a Juliusa posadzą, dlatego też pojechała do niego. Do mnie dopiero co przyjechali Andriej Amalrik i Ira Jakir. To oni powiedzieli mi, że u Juliusa też trwa rewizja. Byłam przekonana, że go posadzili, szukałam go po całych Butyrkach. W końcu któregoś dnia przyszła do mnie Sofia Wasiljewna Kalistratowa i zapytałam, czy Julius został aresztowany. Odpowiedziała mi, że Julius wyjechał do Izraela. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o osobie z mojego otoczenia, która wyjechała do Izraela. Julius nie był syjonistą. Chociaż mieliśmy znajomego, który rzeczywiście nim był. Swiczewski, bo tak się nazywał, siedział razem z Krasinem w obozie, posadzili go właśnie za syjonizm. Pozostał jego wyznawcą i domagał się zezwolenia na wyjazd z kraju do Izraela. W końcu je otrzymał, choć ja już wtedy siedziałam. Ale nigdy bym się nie spodziewała, że Julius wyjedzie z ZSRR. Dopiero kiedy wyszłam, dowiedziałam się, że wyjeżdżają praktycznie wszyscy, a w najlepszym wypadku zastanawiają się – zostać czy wyjechać.

**MR:** To bardzo ważna kwestia, wrócimy do niej później. Ważna jest wasza ówczesna świadomość prawna. Pytam o sprawę Władimira Driemlugi i jego aresztu. Po demonstracji na placu Czerwonym minęły zaledwie trzy godziny...

**NG:** Tak, minęły trzy godziny i on mówi: „Idę”. I zaczęli prowadzić na przesłuchanie.

**MR:** Wtedy już wszyscy wiedzieli, jaka jest różnica między świadkiem a podejrzanym?

**NG:** Jak mogliśmy nie wiedzieć? Wszyscy wiedzieli, jaka jest różnica między świadkiem a podejrzanym, między podejrzanym a oskarżonym. Byliśmy z tego mocno obkuci. Ta wiedza później bardzo mi pomogła. Pamiętam, że w latach 80. przyszedł do mnie tłumacz, który przekładał rosyjskie teksty dla francuskich adwokatów Fiodorowej i Murzenko. Miał problemy z kilkoma terminami w języku francuskim. A ja znałam już te terminy, nawet po francusku. To wszystko dzięki Sofii Wasiljewnie. Przychodziliśmy do niej, a ona opowiadała nam o różnych przypadkach ze swojej praktyki adwokackiej. Paweł Litwinow miał takie powiedzenie: „pamiętajcie, kochajcie, studiujcie KPK” – Kodeks postępowania karnego. To parafraza hasła „pamiętajcie, kochajcie, studiujcie Iljicza”. My wszystko to mieliśmy wykute na blachę, lepiej nawet od samych śledczych.

**MP:** Rozumiem, że jeśli nie było nawet wiadomo, kto pojawi się na placu, to tym bardziej nie ustalaliście wcześniej, jak będziecie się zachowywać?

**NG:** Ustaliliśmy wcześniej tylko jedno – że będzie to siedząca demonstracja. Mieliśmy sięść na chodniku obok Łobnogo miasta. Łobnoe miasto znajdowało się kiedyś w innym miejscu niż obecnie, zostało przeniesione. Kiedyś znajdowało się zdecydowanie bliżej soboru Wasyla Błogosławionego i samego Kremla. Umówiliśmy się również, że nie będziemy stawiać oporu, ale nie pójdziemy z nimi na własnych nogach, niech nas przenoszą. Przekazano wszystkim te instrukcje.

**MR:** A po aresztowaniu, na przesłuchaniach?



**NG:** Później każdy już sam decydował o tym, jak będzie się zachowywał.

**MR:** Ty oświadczyłaś, że nie będziesz odpowiadała na pytania, a Drie-mluga odmówił podpisania czegokolwiek.

**NG:** Każdy miał prawo zachować się tak, jak sam uznał za stosowne.

**MR:** Kto przychodził na rozprawy, a właściwie pod budynek sądu?

**NG:** Nie, nie pod budynek sądu. Do sali sądowej wpuszczono wielu naszych bliskich – faktycznych krewnych, a nawet tych, którzy tylko się za nich podawali. Ludmiła Aleksiejewa przyszła jako kuzynka Łarisy. Łarisa i Julij mieli przyjaciela, niestety nie pamiętam już jego nazwiska, ale można o nim przeczytać w zbiorze listów Daniela, który przyszedł do sądu, podając się także za kuzyna Łarisy. W przypadku Pawła Litwinowa, oprócz jego rodzonej siostry, na rozprawę przyszły również kuzynki. Pamiętam, że pojawiła się Masza, Wiera i oczywiście Tania. Do Kostii przyszły siostry Tani: Katia i – zdaje się – Asia Wielikano-wa. Tania, oczywiście, przyszła w charakterze żony. Wszyscy oni mieli jeszcze niepełnoletnie dzieci, których nie wpuścili.

**MR:** Ludmiła Aleksiejewa została wpuszczona tylko pierwszego dnia.

**NG:** Tak, później już nie wpuszczali.

**MR:** Choć specjalnie na ten proces ściągnięto trzydzieści osób z dziel-nicy Proletarskaja?

**NG:** Zabawne były próby wyjaśnienia tego wszystkiego koresponden-tom zagranicznym. Był u nas taki Wania, mówiliśmy: „O, a to jest nar-zeczony/narzeczona Marczenki”. On był rzeczywiście narzeczonym Irki. Kiedy wyszła, wzięli ślub, później odtąd ją Wadim. Korespondenci nie mogli się jednak w tym zorientować, dlatego wszystko im tłumaczyliśmy. Warto dodać, że śmiech towarzyszył nam na każdym kroku, było wiele zabawnych sytuacji.

**MR:** Ogromne wrażenie zrobiły na mnie żądania, które wszyscy oskar-żeni otwarcie sformułowali pierwszego dnia procesu, a mianowicie:

wezwać wszystkich świadków. Łarisa Bogoraz chciała nawet zostać swoim obrońcą.

**NG:** Tak, to było chyba jedyne żądanie, które zostało spełnione.

**MR:** To żądanie: wpuścić przyjaciół do sądu. I chyba najważniejsza kwestia: proces odroczyć, a wszystkie zebrane dokumenty skierować do ponownego rozpatrzenia. Wezwać wszystkich, którzy was wyłapywali i bili. Mówiliśmy już o książce *Proces czworga*, pomocy Litwinowowi udzielanej przez Kalistratową i o tym, jak zbierał on materiały do swoich publikacji. Opowiedz szczegółowo, jak zbierałaś materiały do książki *Dwunasta w południe*. We wstępie piszesz, że trwało to około roku.

**NG:** Jeden człowiek sporządzał notatkę z jednego dnia sądu, drugi – z drugiego, trzeci – z trzeciego. Tak to rozdzielili między sobą. Zbierałam później te wszystkie brudnopisy, łączyłam ze sobą, redagowałam i przekazywałam Sofii Wasiljewnej, aby to przejrzała. Sama również sporo robiłam. Najważniejsze dla nas były jednak mowa końcowa Łarisy i ostatnie słowa oskarżonych. Materiały te należało od razu rozpowszechnić w samizdacie.

**MR:** Ale główna część książki...

**NG:** Główna część to oczywiście stenogram z procesu.

**MR:** Czytając go, wydaje się, że jest on dosłownym, wiernym stenogramem. Czy było możliwe odtworzenie całego procesu?

**NG:** Właściwie to prawie jest wierny stenogram. Oczywiście, to w dalszym ciągu nie jest bezpośredni stenogram z rozprawy, ale jest to zapis mocno zbliżony do wiernego stenogramu. Zawsze powtarzam, że jest to gotowe słuchowisko radiowe. Osoby są zbędne, wystarczą głosy.

**MR:** Sofia Wasiljewna Kalistratowa, Boris Zołotuchin, dopóki go całkowicie nie odsunięto od praktyki adwokackiej, oraz Dina Isakowna Kaminska – to byli najbliżsi adwokaci...

**NG:** Nie wiem, w jaki sposób znaleziono Zołotuchina.

**MR:** Ale to, że uczestniczyła w tym procesie Kalistratowa, nikogo nie dziwiło?

**NG:** Nie, ponieważ ona broniła Wiktora Chaustowa, Władimira Bukowskiego i Wadima Delone. Była też obrońcą w moim procesie. Tzn. jeśliby mnie aresztowano i sądzono w procesie demonstrantów, chciałabym, aby moim obrońcą została właśnie Sofia Wasiljewna. Interesy moje i Wadima nie były sprzeczne, więc istniała możliwość obrony naszej dwójki. Ale ostatecznie nie zostałam aresztowana.

**MR:** Kiedy zabrano cię dwudziestego czwartego grudnia po przeprowadzeniu rewizji, to dotarło do ciebie, że to już koniec?

**NG:** Tak, mieli przy sobie nakaz aresztowania. Byłam przekonana, że to kiedyś nastąpi. Mieliśmy jednak świadomość, że odczekają wystarczająco długo, aby moje dziecko zdążyło podrosnąć, że nie zabiorą mnie zaraz po demonstracji. W końcu przyszli, ale tego dnia Jasik nie poszedł do szkoły, został w domu, ponieważ jakiś czas wcześniej Ośka zachorował na świnkę. Tego dnia po raz pierwszy zaprowadziłam go do żłobka, a Jasik odbywał w domu kwarantannę od świnki. Oni o tym nie wiedzieli. Mieli jednak informację, że Ośka jest w żłobku. Przyszli i zapytali: „Dlaczego dziecko jest w domu?”, odpowiedziałam: „Kwarantanna”. Mamy nie było wtedy w domu. Zrozumiałam, że przyszli po mnie, ale nie mogli mnie zabrać i zostawić w mieszkaniu ośmioletniego chłopca bez opieki. Od razu wiedziałam, że przyszli mnie aresztować.

**MR:** Piszesz w swojej książce o tym, że w pewnym momencie pojawiło się u ciebie podejrzenie, myśl, że pierwszy pobyt w psychuzdce mógł zostać wcześniej przygotowany i zaplanowany, tak na wszelki wypadek? Możesz się do tego szerzej odnieść?

**NG:** To nie było tak. Faktycznie wcześniej przebywałam na obserwacji w przychodni psychiatrycznej. W 1958 roku miałam, jak to później określał mój lekarz z przychodni, epizod psychotyczny. Pracowałam wtedy w bibliotece, i kiedy to się zaczęło, nie byłam w stanie dotknąć papieru. Pracowałam z książkami, katalogami i nie mogłam dotknąć papieru. Sama zgłosiłam się do szpitala psychiatrycznego, ponieważ przeraziło mnie to, co się ze mną działo. A w szpitalu, jak skończona

wariatka, przyznałam się lekarzowi, że w ubiegłym roku zatrzymano mnie, że spędziłam trzy dni na Łubiance i od tamtej pory bardzo źle się czuję. Zaczęłam mieć zawroty głowy, lęk wysokości, a teraz to. Wpisali mi do karty diagnozę: schizofrenia, choć nie miałam żadnych objawów na nią wskazujących. Raz w roku musiałam stawiać się na obserwację. I lekarz, który przyjmował w tej przychodni, stwierdził, że nie mam żadnej schizofrenii, że był to jedynie „epizod psychotyczny”. Dlatego też ani trochę mnie nie zdziwiło, że wiosną 1968 roku zabrali mnie do szpitala psychiatrycznego z oddziału położniczego, gdzie leżałam. To była ich fanaberia. Wiedziałam, że nie mają prawa tego zrobić, jeśli jestem pod obserwacją lekarza. Ale istniał wtedy również zapis o przymusowej hospitalizacji. I w oparciu o ten zapis wzięli mnie na oddział psychiatryczny. Byłam wtedy w szóstym miesiącu ciąży. Chcieli przeprowadzić aborcję, ale nie wyraziłam zgody. W sumie po tygodniu zostałam wypuszczona. Potem miałam tę komisję po demonstracji, którą opisałam w książce *Dwunasta w południe*. Mniej więcej miesiąc przed moim aresztowaniem zdarzyło się coś bardzo ciekawego. Wezwano mnie do przychodni. Ciekawe, że wszyscy moi przyjaciele, żyjący w różnych częściach rejonu leningradzkiego lub nawet jeszcze dalej, przyjeżdżali na obserwację do tej samej przychodni psychiatrycznej i do tej samej lekarki. To ona mnie wezwała i mówi: „Czy wie pani, że chcemy skierować panią na komisję ds. rewizji diagnozy”. Ja na to: „Proszę bardzo, z przyjemnością”. A ona powołuje komisję, w skład której wchodzi główny psychiatra Moskwy. Rozmawiałam z nimi wszystkimi. Ona mówi do mnie: „Chcemy panią zdjąć z obserwacji, ale wymaga to orzeczenia komisji”. Komisja na czele z głównym psychiatrą Moskwy postanowiła, co następuje: „Objawów schizofrenii – brak, ale postanawia się zostawić pacjentkę pod obserwacją psychiatryczną”. Było dla mnie jasne, że prędzej czy później mnie aresztują, czekałam na to przez te wszystkie lata. Kiedy pisałam *Dwunastą w południe*, towarzyszył mi strach przed aresztem, jednak kiedy już ją skończyłam, to poczułam ulgę, spokojnie czekałam na aresztowanie. Zrozumiałam wtedy, że oni zastanawiają się, gdzie mnie wysłać – do obozu czy na przymusowe leczenie. Oprócz tego miałam jedno przesłuchanie w KPZ (ros. камера предварительного заключения – areszt tymczasowy – przyp. tłum.) i jedno w Butyrkach. Uczestniczyła w tym moja oficer śledcza Akimowa, ta sama, która zajmowała się sprawą demonstrantów, i zastępca lub p.o. pro-

kuratora miasta Moskwa, który powiedział mi na osobności: „Będzie się pani tułała całe życie po obozach lub psychuszkach”. Widocznie nie do końca byli zdecydowani w tej sprawie. Sama nie wiem, może wyolbrzymiam, ale siedząc sama w areszcie, możliwe że i z niejedną „kwoką” (ros. „наседка” – pot. donosicielka – przyp. tłum.)...

**MR:** To już grudzień 1969 roku i Butyrki?

**NG:** Tak, noc spędziłam w areszcie leningradzkiego rejonu, a później odwieziono mnie do Butyrek. W areszcie mówiłam, że jedyne czego się boję, to więzienie psychiatryczne. Podejrzewam, że przekazali im to i mogło to wpłynąć na wybór przez nich drogi dla mnie. Nie było przecież sensu zwoływać tej komisji i wydawać orzeczenia, że nie ma przesłanek świadczących o schizofrenii, skoro i tak Instytut Serbskiego wydał opinię, w której podano, że „nie wyklucza się *wiałotiekuszczej szyzofrenii* (łagodna, bezobjawowa forma schizofrenii; jednostka nozologiczna stosowana wyłącznie w psychiatrii radzieckiej – przyp. tłum.)”. Po co więc była ta cała komisja? Wyłącznie na wypadek, gdyby trzeba było wysłać mnie do obozu. Może więc niepotrzebnie się wtedy wygadałam.

**MR:** To znaczy, że po demonstracji prawie przez półtora roku, do grudnia 1969 roku, żyłaś z przekonaniem, że nie da się uniknąć aresztu, zamknięcia, obozu?

**NG:** Oczywiście, byłam w stu procentach przekonana, że to nastąpi. Chciałam jak najwięcej do tego czasu zrobić.

**MR:** Chciałbym jeszcze wrócić do końca maja 1969 roku, kiedy aresztowano w Taszkencie Grigorienkę i kiedy kształtuje się Grupa Inicjatywna, do której dołączasz ty, chyba nieoczekiwanie dla samej siebie. Uczestniczyłaś w spotkaniu z Piotrem Jakirem w jego domu, kiedy Jakir i Krasin spóźnili się i przynieśli od razu przygotowaną odezwę, którą przekazali korespondentom zagranicznym, nie uzgodniwszy jej treści z innymi?

**NG:** Nie. Dowiedziałam się o tym na procesie Ilji Burmistrzowicza. Zebrałiśmy się wtedy przed budynkiem sądu i Jakir z Krasinem poinformo-

mowali nas o tym. Zaraz po tym poszliśmy na proces. To był właśnie ten proces, na który wpuścili wszystkich. Później sędzia wyprosiła mnie i Jakira z sądu, rzekomo za rozmowy, a my przecież przez całą rozprawę siedzieliśmy cicho. Co prawda, uśmiechaliśmy się pod nosem.

**MR:** Piszesz o tym w innych miejscach, wspominałaś o tym również w wywiadach, był jednak taki moment, o którym opowiadał mi Aleksandr Ławut...

**NG:** O Grupie Inicjatywnej? Że był grzech pierworodny? Ławut i Kowalow cały czas włączali się do Grupy Inicjatywnej, to znów z niej wychodzili, ponownie wracali, i tak cały czas. Wydaje mi się, że po moim aresztowaniu to się zmieniło, pozostali w niej już na stałe.

**MR:** Ale Kowalow i Ławut byli akurat na tym spotkaniu w domu u Jakira, kiedy to wszyscy musieli czekać na gospodarza i na Krasina, a oni spóźniali się już trzy godziny, wreszcie przyszli i pokazali tekst, który przekazali już korespondentom zagranicznym. Ławut mi później opowiadał, że Kowalow wpadł wtedy we wściekłość.

**NG:** Piotr Jakir, zawsze kiedy o mnie wspominał, mówił: „Czy wiecie, w jaki sposób Natasza zbiera podpisy? Mówi, że ma tutaj taki oto list, pokazuje tekst, ale nigdy nie wypowiada słowa »podpisz«”. Wiesz, o co mi chodzi? Nigdy nie namawiałam nikogo do podpisania czegokolwiek ani tego nie odradzałam. Nigdy nie podpisałam się za kogoś pod niczym, nawet jeśli ktoś by mnie o to poprosił, nigdy bym się też nie zgodziła, aby za mnie ktoś złożył podpis. Ale nie mogliśmy publicznie odmówić.

**MR:** Już wtedy wiedzieliście, że Grupa Inicjatywna nie jest za sprawą Grigorienki przedsięwzięciem jednorazowym?

**NG:** Tak, oczywiście. Przez cały ten czas, szczególnie w głowie Piotra Grigorjewicza, rodziły się pomysły stworzenia jakiegoś komitetu. Nie wypowiadaliśmy słowa „organizacja”, ponieważ zbyt mocno kojarzyło nam się ono z artykułem 72 Kodeksu karnego.

**MR:** Grigorienko już wcześniej próbował tworzyć różne organizacje podziemne.

**NG:** Rozmawiałam kiedyś z Wiktorem Krasinem. Rozmowa ta została opisana w książce *Dwunasta w południe*. Krasin zapytał mnie: „Co, jeśli mielibyśmy taki komitet, który by ci czegoś zabronił?”. Odpowiedziałam wtedy: „Po prostu wysłałbym z niego”. Nie lubię komitetów, lubię działać samodzielnie, nie chcę być od kogoś zależna. Dopiero na Zachodzie zaczęłam być członkiem różnych komitetów, ponieważ zrozumiałam, że to jest niezbędne, aby móc pokazać moją solidarność. Jednocześnie przekonałam się, że nie znaczy to, że muszę postępować zgodnie z czyimiś wytycznymi. To dla mnie naprawdę ważne.

**MR:** Uprzedziłaś moje kolejne pytanie o twój obecny stosunek do organizowania się w poważniejsze struktury.

**NG:** Mój pogląd ani trochę się przez te lata nie zmienił. Nie dołączam do żadnych komitetów.

**MR:** Ale wtedy, w 1969 roku, wiedziałaś, kto jest członkiem Grupy Inicjatywnej, a kto stoi w drugim szeregu?

**NG:** Paskudnie to wtedy wyglądało. Jednych zapisywali jako członków grupy, innych – jako wspierających grupę... Okropny bałagan. Świetnie to opisał Leonard.

**MR:** Znam książkę Leonarda Tiernowskiego.

**NG:** Według mnie Tiernowski świetnie opisał nie tylko Grupę Inicjatywną, ale również „Kronikę Wydarzeń Bieżących”.

**MR:** Chciałbym wrócić jeszcze na chwilę do samego aresztowania i więzienia w Butyrkach. Jak wyglądała więzienna codzienność? Ile osób przebywało w jednej celi?

**NG:** Pięć osób. Czasami dodawali nam jeszcze jedną osobę, wtedy rozkładali na podłodze takie drewniane posłanie. To był specjalny areszt, w takim standardowym w celi może przebywać naprawdę sporo osób.

Tak przynajmniej było na oddziale żeńskim; nie wiem, jak to wyglądało u mężczyzn.

**MR:** Siedzą tam również przestępcy kryminalni?

**NG:** Wyłącznie przestępcy kryminalni.

**MR:** Jakie mieliście z nimi relacje? To jeszcze nie więzienie, areszt tymczasowy, ale chyba niewiele to zmienia.

**NG:** Tak, to jest areszt śledczy, tzw. SIZO (ros. СИЗО – izolator śledczy – przyp. tłum.). Moje relacje ze współwięźniarkami były raczej normalne. Siedziałam z jedną dziewczyną, która pracowała jako sprzedawczyni w sklepie. Oskarżono ją o wzięcie dużej łapówki. Pracując w sklepie z odzieżą ślubną, sprzedawała jakieś ślubne ubranie osobie, która ślubu nie brała. Zapytałam, dlaczego siedzi za łapówkę, a nie za spekulację? Odpowiedziała: „Jeśli byłabym sprzedawcą, wtedy byłaby to spekulacja, a ja jestem zastępcą kierownika sekcji, osobą odpowiedzialną materialnie, więc potraktowane to zostało jako łapówka”. Ta dziewczyna przez cały czas nie mogła zrozumieć, po co było mi potrzebne to, czym się zajmowałam.

Razem ze mną siedziała również złodziejka, która bardzo mnie polubiła, choć ja podejrzewałam, że jest drugą w mojej celi „kwoką”. Kim zwykle są „kwoki”? To osoby, które otrzymały już jeden wyrok i siedzą teraz w areszcie z powodu innego oskarżenia, są wywoływane na przesłuchania w tej drugiej sprawie. W naszej celi były dwie dziewczyny mające na koncie już jeden wyrok. Nie pamiętam, kim były piąta i szósta więźniarka, one bardzo często się zmieniały. Ta złodziejka dostała rok pozbawienia wolności i odsiadywała wyrok za nielegalny obrót walutą. Złodzieje przynosili jej całą skradzioną walutę, ona im ją wymieniała. Tak przynajmniej mówiła. Bardzo przyjemna była z niej dziewczyna, miałyśmy ze sobą wyjątkowo dobry kontakt. Podobało jej się wszystko, co mówiłam. A mówiłam tyle, na ile mogłam sobie pozwolić, nie łamiąc żadnych zasad konspiracji.

**MR:** To znaczy, że wszystkie one wiedziały, w oparciu o który artykuł zostałaś aresztowana?



**NG:** Nie wspominałam o tym, że wydawałam „Kronikę...”

**MR:** To zrozumiałe, ale wszyscy wiedzieli, że jest to artykuł polityczny, a nie kryminalny?

**NG:** Tak, oczywiście. Nadzorczyńni prowadziła mnie po korytarzu i ogłaszała wszystkim: „To jest Natasza, skazana ze sto dziewięćdziesiątego, polityczna”. Wszyscy się pytali, co to za artykuł. W tym czasie wprowadzono art. 93, czyli defraudacja mienia państwowego na szeroką skalę, dlatego musiałam wyjaśniać, że nie siedzę z art. 93, ale z art. 190. Ogólnie w areszcie specjalnym miałam całkiem przyjemne warunki. Ta dziewczyna ze sklepu z odzieżą ślubną, o której wspominałam wcześniej, miała czarnoskórego męża z Nigerii. Miała też już siedmioletniego syna. Przed tym, jak urodziła syna, przytrafiło jej się kilka poronień. Lekarze poinformowali ją, że niezbędne jest długie, specjalistyczne leczenie, w trakcie którego nie powinna zachodzić w ciążę. I okazało się w więzieniu, że jest w ciąży. Później dowiedziałam się o jej dalszych losach. Niestety, urodziła martwe niemowlę. Kiedy ponownie zostałam aresztowana i trafiłam do Butyrek, spotkałam naszą nadzorczyńnię, która mi o tym opowiedziała. Dziecko urodziło się w szóstym lub siódmym miesiącu, ale martwe. Mąż więźniarki kończył już studia, a ona w dalszym ciągu nie chciała z nim wyjechać do Nigerii. Skończyło mu się pozwolenie na pobyt, przedłużał wizę raz za razem, ale w końcu cierpliwość urzędników się skończyła. Później biorą dziewczynę na przesłuchanie, wraca do nas blada, mówi: „Śledczy zapytał się mnie, dlaczego nazwałam syna Seku? Dlaczego nie wybrałam pięknego rosyjskiego imienia Sasza?”. Jej mąż studiował na Uniwersytecie Przyjaźni Narodów, dlatego nigdy nie miała okazji spotkać się z takim przejawem rasizmu, a tu aż osłupiała.

**MR:** Czy współwięźniarki wyrażały zrozumienie dla twojej działalności, czy uważały, że to jakaś zupełna głupota?

**NG:** Ta dziewczyna Anka, złodziejka, wydaje mi się, że rozumiała sens mojej działalności, natomiast ta druga, chyba miała na imię Swietka, zupełnie nie potrafiła pojąć moich motywów i głośno o tym mówiła.

**MR:** Często cię przesłuchiwali?

**NG:** Nie, wezwali mnie za ledwie na jedno przesłuchanie. Powiedziałam wtedy, że chciałabym coś napisać odręcznie. Akimowa mocno się zdziwiła: „Nagle się zachciało Gorbaniewskiej coś własnoręcznie napisać”, ale w końcu pozwoliła mi to zrobić. Pamiętam, że napisałam wtedy: „Jestem gotowa składać zeznania na temat mojej osoby i autorstwa podpisanych przeze mnie dokumentów, nie będę składać zeznań na temat innych osób i autorstwa anonimowych i zbiorowych dokumentów”. Oświadczenie było dłuższe i wyglądało trochę inaczej, ale myślę, że zachowałam jego sens. Sofia Wasiljewna powiedziała, że było to naprawdę fantastyczne oświadczenie, po prostu idealne. Na Akimowej też zrobiło wrażenie. Zadawali mi następujące pytania: „Czy zna pani tego i tego?”, przy czym nie odmieniali nazwisk, brzmiało to tak: „Czy zna pani Łotman, Wienclawa i tak dalej”. Wtedy odpowiadałam: „Jak już powiedziałam, odmawiam składania zeznań na temat innych osób”. Zapytali mnie, jaki mam stosunek do „Kroniki Wydarzeń Bieżących”. „Jak już powiedziałam, odmawiam składania zeznań w kwestii autorstwa anonimowych dokumentów”. Nie zapytali o to, czy jestem autorką książki *Dwunasta w południe*, ponieważ na okładce książki jest moje nazwisko. Wyjaśniłam, że jestem gotowa składać zeznania na temat tego, co jest podpisane moim imieniem i nazwiskiem. Ale o książkę nie pytali. Właściwie każdy mógł napisać tę książkę i podpisać się moim imieniem, a oni mnie o to nie zapytali.

**MR:** Jak długo przebywałaś w Butyrkach?

**NG:** Do kwietnia. W kwietniu przewieziono mnie do Instytutu Serbskiego. Tam spędziłam kolejny miesiąc. Z Instytutu znów wróciłam do Butyrek, ale tym razem do więziennego szpitala, mieszczącego się w byłej (teraz już działającej) cerkwi w Butyrkach. Opisuje ją Sołżenicyn, choć wtedy pełniła ona funkcję miejsca, w którym zbierano więźniów. Za moich czasów był tam szpital, jedna kondygnacja przeznaczona była dla kobiet uznanych przez komisję za niepczytalne. Mężczyźni uznani za niepczytalnych siedzieli w skrzydle budynku. Byli tam oprócz tego jacyś suchotnicy. I ja tam siedziałam do stycznia 1971 roku, kiedy przewieźli mnie w końcu do Kazania. Ponieważ miałam rozprawę w czerwcu – a w szpitalach psychiatrycznych ciągle brakowało wolnych miejsc – postanowili mnie gdzieś przewieźć, choćby niezbyt daleko.

**MR:** Niechętnie mówisz o szczegółach pobytu w szpitalach psychiatrycznych.

**NG:** To prawda. W ogóle zaczęłam o tym opowiadać dopiero na Zachodzie. Kiedy stamtąd wyszłam, od razu powiedziałam: „Tylko nie pytajcie, czarna dziura. Nie chcę o tym mówić”. Jeśli już odpowiadałam na tego typu pytania, to wymijająco. Anatolij Krasnow-Lewitin gdzieś kiedyś zapisał, że wstrząsnęło nim to, co powiedziałam, że wracając z Kazania do Butyrek, poczułam się, jakbym wracała do domu. Można sobie wyobrazić, czym był Kazań, jeśli w Butyrkach czułam się jak w domu.

**MR:** Pozwól, że zadam tylko jedno pytanie na ten temat. Czy byli tam inni więźniowie polityczni?

**NG:** Byli. Ale nigdy nie trafialiśmy do jednej celi. Nie zdarzało się, aby umieszczono w jednej celi dwóch więźniów politycznych. Spotykaliśmy się jednak na spacerunku.

**MR:** Wiedziałaś, kim oni są?

**NG:** Tak, czasami spotykaliśmy się na spacerze, czasami mijaliśmy na korytarzu.

**MR:** Instytut Serbskiego opuściłaś w lutym 1972 roku?

**NG:** Tak, dokładnie dwudziestego drugiego lutego 1972 roku. Odsiedziałam tam dwa lata i dwa miesiące bez dwóch dni.

**MR:** Wtedy od razu pojawił się pomysł, aby wyjechać do Francji?

**NG:** Nie, zupełnie nie. Kiedy dowiedziałam się, że wszyscy zastanawiają się, czy wyjechać, czy zostać w kraju, ja od razu powiedziałam sobie – zostaję. Nie myślałam nigdy o tym, aby opuścić kraj.

**MR:** Z zameldowaniem w Moskwie miałaś podobne problemy, jak inni wychodzący z więzienia?

**NG:** Nie, po przymusowym leczeniu kwestia zameldowania nie jest już podejmowana. Wszystko pozostaje, tak jak było. Kiedy wychodziłam, wydano mi zaświadczenie o zwolnieniu, zgubiłam je jednak gdzieś na Zachodzie. Zdaje się, że zaginęło wraz z archiwum, które zostało zalane w piwnicy w Paryżu. Na zaświadczeniu napisano: zwolniona jedenastego stycznia 1971 roku. To był ten dzień, kiedy przeniesiono mnie do Kazania. Okazało się, że od tego dnia byłam już wolną osobą, mimo tego zmuszona byłam siedzieć w Kazaniu, a później jeszcze cztery miesiące w Instytucie Serbskiego. Na zaświadczeniu nie było informacji o tym, że rozpoczyna się kolejny etap mojej hospitalizacji, ale że powinnam być już wolna.

**MR:** Czy w czasie twojej nieobecności w domu w latach 1969-1972 twoje dzieci nie doświadczały jakichś problemów – nawet nie ze strony KGB lub milicji, ale nauczycieli lub innych dzieci w szkole?

**NG:** Nie, wprost przeciwnie. Zawsze podkreślałam, że chociaż nauczyciele i kierownictwo szkoły nigdy nie podzielali moich poglądów, to mimo wszystko było im żal moich dzieci. Dowiedziałam się o tym z raportów, które szkoła przedstawiała na temat warunków, w jakich żyje i uczy się mój starszy syn. Szkoła sprawowała formalną opiekę nad moimi dziećmi, kontrolowana była jednak przez odpowiednie instytucje opieki. Czytając te raporty, można by było dojść do wniosku, że mój syn żyje w jakimś pałacu, tzn. pracownicy szkoły pisali w taki sposób, aby nikt nie mógł się do tego przyczepić. Żona mojego brata, rodzina jak by na to nie patrzeć, próbowała udowodnić, że opieka nad moimi dziećmi nie powinna zostać przyznana mojej matce, ale dzieci powinny zostać skierowane do domów dziecka. A tu obcy ludzie tak nam pomogli.

**MR:** Wychodzisz w lutym 1972 roku i co dalej?

**NG:** Staram się żyć normalnie, znajduję sobie jakąś pracę, jakieś źródła dodatkowych drobnych zarobków. Najpierw poszłam tam, gdzie wcześniej pracowałam jako tłumaczka – do Instytutu Informacji przy Ministerstwie Rolnictwa. Powitali mnie tam z otwartymi ramionami, ponieważ zawsze bardzo cenili moją pracę. Dodatkowo zajmowałam się jeszcze innymi przekładami. Właściwie to chwyciłam się każdej

pracy. Na początku łąpałam pojedyncze zlecenia, prace tymczasowe: tu trzy miesiące, tam trzy miesiące. Szukałam takich form zatrudnienia, które nie wymagałyby mojej obecności w pracy, tzn. np. polegających na przepisywaniu kart katalogowych w domu, a później zanoszeniu ich w odpowiednie miejsce. Po tych pracach tymczasowych udało mi się znaleźć stałe zatrudnienie. Wtedy właśnie wezwali mnie do przychodni i zapytali: „Nie pracuje pani?”, odpowiedziałam: „Wykonuję takie, takie i takie zlecenia”. A oni do mnie: „Musi pani znaleźć stałą pracę, inaczej przyznamy pani grupę inwalidzką”. Grupa inwalidzka oznaczała, że w dowolnym momencie będą mogli zabrać mnie do zwykłego szpitala psychiatrycznego. Powiedziałam im, że dopiero co znalazłam sobie stałą pracę i zostawili mnie w spokoju. Tak naprawdę pracowałam na pół etatu, dlatego znów mogłam pozwolić sobie na zajmowanie się przekładami. Później zatrudniono mnie w Instytucie Informacji Naukowej Nauk Społecznych (ИНИОН). Co prawda, kiedy po raz pierwszy przyniosłam efekty swojej pracy, jakaś kobieta pobiegła od razu do kierownictwa i doniosła im, kim jest ta cała Gorbaniewska. Dlatego później zmuszona byłam podpisywać się cudzym nazwiskiem. Co ciekawe, ta kobieta wyemigrowała wcześniej ode mnie.

**MR:** Gdzieś wspominałaś, że kilka fragmentów „Kroniki Wydarzeń Bieżących” przynosiła ci do przepisania Łarisa Bogoraz, chociaż to pozostawało waszą tajemnicą.

**NG:** Nie, to była Tania Wielikanowa. Pisałam sprawozdanie z procesu baptysty lub zielonoświątkowca Fiedotowa. Zdarzały się również poważniejsze materiały, które trzeba było skracać, np. z procesu Maramzina, a później Chejfeca. Tania była jedyną osobą, która wiedziała o tym, co robię. Do czasu upadku ustroju komunistycznego nikomu tego nie powiedziałam.

**MR:** A kiedy po raz pierwszy pojawiła się w twojej głowie myśl o wyjeździe z kraju i kiedy podjęłaś decyzję o emigracji?

**NG:** Myśl o tym, aby wyjechać z kraju, pojawiła się gdzieś około 1974 roku, ponieważ przez dwa lata niczego nie podpisywałam, a w kraju zaczęło się dziać źle. Najpierw aresztowanie Sołżenicyna, później list w obronie Leonida Pluszcza, który także przebywał w więzieniu psychiatrycz-

nym, ale zdecydowanie dłużej i w znacznie gorszych warunkach niż ja – jego po prostu torturowali przy pomocy tzw. „leczenia”. Nie mogłam przejść obok tego obojętnie i nie podpisać. Wtedy zrozumiałam, że jeśli jeszcze raz coś podpiszę, wezmą się i za mnie. Wiedziałam, że po raz drugi się nie wykaraskam. Dlatego też podjęłam decyzję o wyjeździe. W 1974 roku poprosiłam Siniawskich o załatwienie dla mnie zaproszenia z Francji. Zaproszenie wysłało do mnie bardzo sympatyczne małżeństwo tłumaczy Josée i Geneviève Jouannet, których miałam później okazję poznać osobiście. Niestety, nie wypuścili mnie z kraju na podstawie tego zaproszenia. Poprosiłam więc Majkę [...], aby przysłała do mnie wezwanie z Izraela i podpisała się jako „kuzynka”.

**MR:** Podobny scenariusz – ucieczka przez Izrael – spotykamy w innych historiach, w tym również w historii Anatolija Marczenki.

**NG:** Tak, tylko u mnie było zabawniej. Dostałam zaproszenie na rok i tam na samym końcu jest takie wolne miejsce „Czy chciałby/aby Pan/Pani coś dodać od siebie”. I dodałam: „Ponieważ nie jestem w stanie znaleźć w kraju pracy w swojej specjalności, to jeśli znajdę zatrudnienie w swoim zawodzie we Francji, to będę wnosila o wydanie mi paszportu na pobyt stały”. Od razu wezwali mnie do Oddziału Wiz i Rejestracji i zapytali, czy nie chciałabym od ręki wnieść o zgodę na pobyt stały, mimo iż na zaproszeniu widniał tylko jeden rok. Zapytałam urzędniczki: „Wystarczą te papiery?”. Odpowiedziała, że tak. Pomyślałam: „Dlaczego by nie spróbować?”. Po dwóch miesiącach dostałam odpowiedź odmowną. Na drugi dzień przeczytałam w gazecie króciutką informację, że na Zachodzie wszyscy martwią się tym, że Związek Radziecki nie wypuszcza za granicę swoich obywateli chcących uzyskać zgodę na pobyt stały w innym kraju, mimo że z dnia na dzień liczba osób chcących w ten sposób opuścić ZSRR stale spada. Po tym wyjechałam, jak mawiał Marczenko, „typową drogą”.

**MR:** Na koniec pozwól – kilka ogólniejszych pytań. Możliwe, że jest to nazbyt płynny proces i nie będzie ci łatwo świadomie uchwycić ten moment, ale czy kiedykolwiek myślałaś o tym – na przykład w latach 60., a nawet w połowie lat 70., kiedy podjęłaś decyzję o wyjeździe do Francji – ile może jeszcze przetrwać Związek Radziecki?

**NG:** W tym czasie o tym nie myślałam. Myślę, że nikt nie brał wtedy tej kwestii pod uwagę. Wyjeżdżaliśmy na zawsze. My – ja i moje dzieci – rozstawaliśmy się z moją mamą i ich babcią na zawsze, żegnaliśmy się ze swoimi przyjaciółmi, nie wiedząc, czy kiedykolwiek ich zobaczymy. Co prawda później część naszych przyjaciół do nas dołączyła. Zawsze jednak powtarzałam, że zostaje przy mnie więcej przyjaciół niż ich odjeżdża. Powiem ci, kiedy poczułam, że ZSRR może upaść. Pierwsze symptomy to narodziny „Solidarności”, ale dotarło to do mnie dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego. Dlatego że karnawał „Solidarności” to jedno, a jej działalność podziemna – to coś zupełnie innego. Wtedy zrozumiałam, że koniec jest już bliski. Druga sprawa, zawsze wierzyłam w to, że komunizm upadnie, ale nie przypuszczałabym, że tego dożyję. A przeżyłam ponad dwadzieścia lat po upadku komunizmu.

**MR:** Zabawną anegdotę opowiedział mi swego czasu Siergiej Adamowicz. Gdzieś w latach 60. miał okazję rozmawiać z jakimś znanym historykiem Imperium Rzymskiego. Zapytał go wtedy: „Ile to jeszcze wytrzyma?”, a on mu odpowiedział: „Wszystkie systemy autorytarne kiedyś padną”. Siergiej Adamowicz rzekł na to: „Owszem, ale jak pokazuje przykład Imperium Rzymskiego, rozkład może jeszcze potrwać z pięćset lat”. Na to historyk: „Taka perspektywa całkiem mnie zadowala”.

**NG:** W perspektywie dziejów to rzeczywiście niewielki wycinek czasu. To naprawdę zadziwiające, że system runął jeszcze za naszego życia. Bardzo żał mi tych, którym nie dane było tego dożyć.

**MR:** Kiedy rozumiałaś różnicę między pojęciami „obrońca praw człowieka” i „dysydent”, kiedy uświadomiłaś sobie, że to, czym się zajmujesz, to nie tylko kwestia sumienia, choć z początku tym zapewne było, ale w rzeczywistości czysta polityka?

**NG:** Nigdy. Do dziś nie uważam, żebym zajmowała się polityką. To zawsze jest kwestia przede wszystkim sumienia. Inna sprawa, że mogłam do tego wykorzystać swoje zawodowe umiejętności redaktorki, maszynistki, dziennikarki, pisarki. Nie, to nigdy nie była polityka. Na-

wet Bukowski, najbardziej upolityczniony z nas, nigdy nie zajmował się polityką.

**MR:** Ale rozumiałś różnicę pojęć „obrońca praw człowieka” i „dysydent”?

**NG:** „Dysydent” to termin umowny i nieszczególnie mi się podoba. Kiedy siedziałam, słowa „dysydent” jeszcze nie było, a kiedy wyszłam – każdy go używał. Wprowadzili go do języka codziennego korespondenci zagraniczni, ponieważ terminu „obrońca praw człowieka” (ros. „правозащитник”) nie można oddać w żadnym języku, nawet w języku polskim, przy pomocy jednego słowa. Dlatego też korespondenci wybrali coś znanego i łatwego, a – jak wiadomo – Rosjanie wszystko zapożyczają z innych języków. Co do terminu „иначекомыслящий” (pol. człowiek o innych poglądach), to swego czasu Tatiana Chodorowicz napisała znakomity artykuł na temat tego zjawiska. Stwierdziła w nim, że to oni – władza – są ludźmi o innych poglądach (ros. „иначекомыслящие”), a my jesteśmy po prostu myślący (ros. „мыслящие”).

Moskwa, 14 lutego 2012. Nagranie w posiadaniu autora.

*Z języka rosyjskiego tłumaczyli Alina Sobol i Jakub Pożarowski*